
KARNAWAŁ

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 5

WARSZAWA, DNIA 29-go STYCZNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO





Łuna na Wschodzie

Co jakiś czas społeczeństwo polskie zwraca oczy na kresy wschodnie i z najwyższem zainteresowaniem wypatruje, co też się tam dzieje. Zdarza się to zazwyczaj po jakimś napadzie na pociąg wojewody, dokonanym wśród błot poleskich, po strzałach do wyższego urzędnika na ulicach Lwowa, albo po wielkim procesie politycznym w jednem z miast wołyńskich, czy to będzie Równe, Łuck, czy też Włodzimierz.

Teraz, wskutek aresztowań Hromady Białoruskiej w Wileńszczyźnie, Nowogródczyźnie i Białostocczyźnie — znów uwaga ogółu skupia się na województwach wschodnich. Ale jaktylko przestaną napływać stamtąd alarmujące wieści, wnet zapomina się o tych krańcach Rzeczypospolitej, zaludnionych w większości przez obce narodowości, przylegających do najzdradliwszego sąsiada i przeto stale zagrożonych pod względem państwowym. Możnaby pomyśleć, że los często doświadcza nas tam boleśnie właśnie poto, abyśmy przypominali sobie o istnieniu olbrzymich połaci kraju, bez których Polska byłaby tylko buforowem państewkiem, wtłoczonem między potężne Niemcy a kolosalną Rosję, skazanem na szukanie protektoratu u jednego z tych mocarstw.

Utrzymanie ziem zabużańskich nie jest objawem imperjalizmu polskiego, lecz kwestją istnienia niepodległej politycznie i ekonomicznie Polski. Dlatego, gdy się mówi o kresach wschodnich i o zamieszkujących tam ludach, dotyka się najbardziej zasadniczych zagadnień bytu naszego państwa. Rozumiały to wszystkie dotychczasowe rządy polskie i wszystkie myślały nad sposobami organicznego związania Kresów z centrum Rzeczypospolitej; niestety, przeważnie kończyło się na dyskusjach, rzadko kiedy na przygotowaniu planów, a nigdy nie udało się jeszcze doprowadzić jakiegoś projektu do końca.

Połowiczność, dorywczość, zmienność — oto system naszego postępowania w prowincjach, które wymagają konsekwentnego, zgóry na lata obmyślonego działania. Tymczasem my przerzucamy się z krańca w kraniec: od idei federalizmu do koncepcji wynarodowienia Kresów, od pożądań nacjonalistycznych aż do haseł samookreślenia. Oczywiście, że ten brak programu w najogólniejszych chociażby zarysach wydaje fatalne rezultaty. Ludność nas nie rozumie, nie wie, czego się trzymać, czego od niej państwo wymaga i czego może się od niego spodziewać. Zamiast rok rocznie zjednywać sobie zwolenników, tracimy w przyśpieszonem tempie sympatje, jakieśmy posiadali w momencie narodzin państwowości polskiej.

P. Rokicki przytacza na łamach „Kurjera Porannego" rozmowę swoją z posłem Taraszkiewiczem, aresztowanym obecnie wodzem „Hromady", odbytą w przeddzień wyborów do Sejmu. P. Taraszkiewicz bolał nad błędami polityki polskiej wobec Białorusinów i wskazywał właściwe drogi postępowania:

—Gdybym ja miał władzę, tobym w ciągu 20 lat zrobił z Biało-

rusinów Polaków — mówił on wtedy.

I istotnie, kto pamięta ówczesne wystąpienia publiczne i wynurzenia prywatne posła Taraszkiecza, ten nie może mu odmówić nazwy polonofila. Był nawet zamiar mianowania go wicewojewodą w Wilnie, czy też ofiarowania mu innego wybitnego stanowiska administracyjnego. Szkoda, że skończyło się na zamiarze. Być może, gdyby powołano przychylnie do Polski usposobionych inteligentów białoruskich do służby państwowej— inaczej przedstawiałyby się dzisiaj stosunki w północno-wschodniej prowincji.

W „Kurjerze Wileńskim" p. St. Swianiewicz opowiada znowu, że przed dwoma laty miał rozmowę z dyrektorem gimnazjum białoruskiego, również aresztowanym obecnie, p. Radosławem Ostrowskim. Zwierzał mu się on, iż przystępuje do tworzenia sieci tajnych szkół białoruskich, przyczem nadmienił, że ma w tej dziedzinie dużą praktykę, gdyż za czasów carskich organizował tajne nauczanie polskie w powiatach Kobryńskim i Prużańskim.

Teraz obaj niedawni propagatorzy polskości na Białejrusi siedzą w więzieniu pod zarzutem zdrady stanu. Jak się to stało? Czyja w tem wina?

P. Swianiewicz przytacza inny jeszcze fakt niezmiernie przykry: Wiosną 1923 r. odwiedził on młodego uczonego białoruskiego, Maksyma Wareckiego, człowieka zasadniczo wrogiego ideologji komunistycznej. Zajmował on wówczas posadę nauczyciela gimnazjum białoruskiego w Wilnie. W obecności p. Swianiewicza przyniesiono mu gażę nauczycielską. Była śmiesznie mała. Warecki, chory na płuca, obarczony rodziną, nie mógł z niej wyżyć. To też skarżył się, że mimo niechęci do bolszewików, zmuszony będzie wkrótce wyjechać do Mińska, gdzie spodziewa się otrzymać stanowisko, które pozwoli mu wyżywić rodzinę. Ale inni nauczyciele pozostali — w biedzie i rozgoryczeniu.

Upaństwowienie kilku szkół średnich — białoruskich i ukraińskich, — dostarczenie im znośnych warunków egzystencji — zaskarbiłoby Polsce wdzięczność nietylko ciała nauczycielskiego, lecz i rodziców. Zrazu może z wyrachowania, potem z przyzwyczajenia nieliczna inteligencja tych narodów stałaby się nicią łączącą z Polską.



Teraz znajduje się w obozie wrogim.

Wpłynęło też na to bezceremonjalne zachowanie się na Kresach naszej administracji. Przed paroma miesiącami do piszącego te słowa przyjechał z Łucka p. Eug. Pietrykowski, społeczny działacz ukraiński. Między innemi opowiadał on o następującem zdarzeniu: W miejscowej komendzie policji popsuł się aparat radjo. Niewiele myśląc, zjawił się przodownik policji w czytelni „Proświty" łuckiej i bez żenady zabrał jej radjo, zainstalowane dla celów rozrywkowych i najlojalniej zgłoszone. Nie pomogły skargi u wojewody; trzeba było aż interwencji ministra spraw wewnętrznych, żeby samowolnie zabrany aparat policja zwróciła.

Takich faktów opowiadają tysiące. Naturalnie, że nie wszyscy nasi urzędnicy na kresach zachowują się, jak w afrykańskiej kolonji. Sporo, i trzeba przyznać, coraz więcej jest wśród nich ludzi rozumnych, taktownych, uczciwych. Ci znów narzekają na brak wskazówek z centrali, na brak jednolitego programu rządowego w stosunku do Kresów, na brak ciągłości polityki.

Wprowadza się utrakwizację szkół w Ziemi Czerwińskiej. Chodzi o współżycie dzieci polskich i ukraińskich, o zapoznanie się ich między sobą i wytworzenie w młodości koleżeństwa, które na całe życie pozostaje, jako najsilniejsze uczucie łączności. Piękna idea. Ale jakżeż ma się ona urzeczywistnić, jeśli do szkół utrakwistycznych wyznacza się nauczycieli — szowinistów, którzy sieją nienawiść między dziećmi i szczują je na siebie. To jakby do jednej klatki wpakować psa z kotem. Rezultat jest wręcz odwrotny od zamierzonego. Młodzież w szkołach utrakwistycznych spędza czas na bijatykach i wymyślaniu od lachów i hajdamaków. To samo urządzenie przy odpowiednio wybranych pedagogach dałoby doskonałe wyniki.

Albo inna niekonsekwencja. Utrakwizuje się szkoły pod hasłem współżycia narodów; a tuż obok — w instytucjach państwowych, samorządowych, społecznych — propaguje się wprowadzenie kurji narodowościowych przy wyborach, kadastru narodowościowego — w innych przejawach życia publicznego, słowem, chce się separować i oddalać Polaków od Ukraińców.

Wróćmy do szkolnictwa. Utrakwizację wprowadzono w województwach Lwowskiem, Stanisławowskiem i Tarnopolskiem, gdzie rozjątrzenie nacjonalistyczne poszło najdalej. Nie zastosowano jej na Kresach wschodnich, chociaż Ukraińcy wołyńscy i Białorusini powitaliby ją znacznie chętniej. Tutaj stosuje się inną politykę: nieprzyjmowania dzieci inojęzycznych do szkół polskich. We wzorowym zakładzie naukowym — w Liceum Krzemienieckiem niema 1% Ukraińców! Nawet w specjalnej szkole rolniczej w Białokrynicy, zależnej od Liceum, niechętnie widzi się ich.

Tymczasem p. Hołówko, odważny obrońca mniejszości narodowych, projektuje założenie dla nich na Wołyniu osobnego wyższego zakładu rolniczego z językiem wykładowym ukraińskim. Gdzie jak gdzie, ale w rolniczej uczelni utrakwizm jest najbardziej wskazany. Przecież niema agronomji polskiej ani ukraińskiej; może istnieć zastosowana do miejscowych warunków przyrodniczych beznarodowa — wołyńska. Przytem dla synów gospodarzy ukraińskich i osadników polskich, a nawet dla dzieci kolonistów czeskich i niemieckich wzupełności wystarczy szkoła rolnicza o poziomie średnim. Wyższy zakład, przygotowujący teoretyków i administratorów wielkich włości, nie jest potrzebny Wołyniowi. Nie miałby słuchaczy ani racji bytu. Prędzej przydałaby się niższa szkoła rolnicza w każdym powiecie; i znów dla obu narodowości i w dwóch prowadzona językach.

To samo można powiedzieć o szkołach powszechnych: zutrakwizowanie ich wydałoby lepsze rezultaty naukowe i polityczne od

obecnej walki przy „plebiscytach szkolnych", będących tylko terenem agitacji dla obu nacjonalizmów. Mądrość stanu polega na całkowitem zaspokajaniu potrzeb i aspiracji ludności w dziedzinie duchowej i materjalnej w ten sposób, aby ono przychodziło niepostrzeżenie; ustępowanie pod naporem, wskutek przegranej walki, przynosi same minusy, żadnego plusu.

Ale dla zrozumienia tej prawdy trzeba w sobie mieć więcej pociągu do zgody, niż do wojny, więcej miłości, niż nienawiści. Psychiczny nastrój urzędnika, sędziego, nauczyciela decyduje tu o wszystkiem. Dlatego tak radośnie powitaliśmy niedawno wydany okólnik wicepremjera Bartla do kuratorów wschodnich okręgów szkolnych.

„Zadaniem szkoły—głosi on — nie jest zwalczanie miejscowego języka, tradycji i kultury, ale rozbudzenie poczucia obywatelskiego i państwowego, które musi się rozwijać jedynie na gruncie uczciwego i przychylnego stosunku szkoły do życia, języka i obyczajów ludności".

Jeśli zasadą tą przejmą się nietylko szkoły, ale też urzędy, sądy, komendy policji i dowództwa pułków na Kresach — mniej niebezpieczne dla państwa staną się Hromady czy Sicze. I zamiast wypatrywać od wschodu groźnej łuny, ujrzymy tam zorzę, zwiastującą nam dzień pojednania i współżycia braterskiego z pokrewnemi ludami słowiańskiemi.

W. Giełżyński



IDEALIZM STOSOWANY

We współczesnem piśmiennictwie amerykańskiem bardzo rozpowszechnione są dzieła na temat powodzenia, osiągniętego indywidualnie przez autora danego na polu sztuki, wiedzy, polityki, publicystyki, handlu, przemysłu czy wreszcie w dziedzinie sportu i t. d.

Literatura tego rodzaju cieszy się nadzwyczajną poczytnością u publiczności.

Rozpatrując znaczenie ulubionego wyrazu amerykańskiego „Success", znajdujemy w nim conajmniej *synonim,* a w każdym bądź razie *atrybut mądrości* i *zdolności* człowieka; albowiem brak tych cech uważany jest za *synonim* najpospolitszego ograniczenia umysłowego, głupoty w połączeniu z niezaradnością, nieumiejętności wyzyskania okoliczności, i lenistwa.

Dziś właśnie Stany Zjednoczone — może w większej mierze, niż jakikolwiek inny kraj, przedstawiają dla badań nad „powodzeniem" najwdzięczniejsze pole.

Warto zwrócić u nas uwagę na tę literaturę, choćby już ze względu na to, że część jej jest osnuta na tle zagadnień ekonomicznych, które z konieczności powinny interesować naszą wybiedzoną i pod względem gospodarczym wycieńczoną, starą Europę.

W Polsce z pośród wielu dzieł amerykańskich koryfeuszów powodzenia znane są głównie teorje Henryka Forda, aczkolwiek niemniej od nich są pouczające rozprawy i pamiętniki kilku jego kolegów na drodze „Success'u"; wiele już z nich dotarło do Niemiec, Anglji etc.

Mam tu na myśli specjalne utwory następujących jednostek wybitnych świata amerykańskiego: A. Lincolna i Edwarda A. Filene — właścicieli firmy Wm. Filene's Company w Bostonie (składy „Department store" à la „Au Printemps" nad Sekwaną), Edwarda Boka — wydawcy w Filadelfji, Józefa Pullitzera—założyciela dziennika „World" w New - Yorku, W. Cameron Forbes'a — cenionego ogólnie „business-man'a" i do niedawna gubernatora rządowego wysp Filipińskich.

Nieomal wszystkie utwory wymienionych, oraz im pokrewnych autorów wykazują ścisły związek ze współczesnem życiem na tej półkuli.

Wszyscy ci pisarze przywykli myśleć kategorjami nowoczesnych pionierów; osiągnęli oni o własnych siłach maximum powodzenia i ogarnęli w ciągu lat swego rozwoju jaknajszerszy horyzont ekonomiczno - społeczny (a nawet poniekąd i polityczny).

Decydujące metody ich działania oparte są na głębokiem doświadczeniu praktyki codziennej, dzięki czemu tchną życiem i werwą. Znaczenie ich ogólne leży przedewszystkiem w szerokim rozmachu organizacyjnym, sięgającym daleko w przyszłość i przewidującym ciągłe ulepszenia na jaknajdalszą metę.

W szeregu najciekawszych typów tych przygodnych literatów zasługują na szczególną uwagę bracia Filene, t. j. A. Lincoln Filene, jako autor „A merchant's horizon" (Boston — New - York, Houghton, Mifflin & Co., 1924) i Edward A. Filene książką swą p. t. „The way out" (New - York, Doubleday, Page & Co., 1925).

Obaj bracia Filene odgrywają tu wybitną rolę, stojąc na czele jednego z najpoważniejszych domów handlowych w Ameryce, prowadząc swe przedsiębiorstwo własnym systemem, nawskroś demokratycznym. W działalności ich ogólnej zaznaczają się wyjątkowo humanitarne tradycje, przejęte od ojca wraz z firmą (w 1890 r.). Zasady te wyróżniają ów dom handlowy z pośród wszystkich innych i zdobyły mu rozgłos nawet w sferach klubów społecznych oraz szkół wzorowych (np. Smith College).

Punktem wyjścia wewnętrznej organizacji tej firmy jest samorząd, oparty na rzetelnie demokratycznych podstawach. Nawet w zarządzie głównym właściciele reprezentują mniejszość głosów, ustąpiwszy praw swoich na rzecz napływających wciąż drogą wyborów nowych członków o silnej inicjatywie.

W ten sposób przygotowują się w obrębie samej firmy przyszli

kierownicy działów, dyrektorzy Zarządu i t. d.,wychowani na ideałach propagowanych przez obecnych właścicieli.

W olbrzymich gmachach nowoczesnych, wystawionych w 1912 roku, przypomina tylko kilka portretów i starych widoków skromne początki firmy Wm. Filene Comp., założonej w 1856 roku w Salem, mieścinie historycznej z czasów „pielgrzymów" angielskich. w Stanie Massachussets. Obecnie pracuje w składach firmy w Bostonie przeciętnie przez rok cały trzy tysiące urzędników.

W 2 domach pałacowych, wzniesionych kosztem kilku miljonów dolarów, mieszczą się wszystkie sklepy i oddziały firmowe, poszczególne sekcje autonomicznie działającego zarządu, czyli „The Filene Cooperative Association". Instytucja ta „F. C. A." jest zagwarantowana paktem konstytucji w stosunku do firmy i do personelu.

W łonie jej funkcjonuje również komitet sądu rozjemczego.

Na „F. C. A." się składają:

1. restauracja,
2. klinika dentystyczna,
3. ambulatorjum,
4. bank,
5. biuro porad prawnych,
6. biuro porad w sprawach osobistych (Clinic for personal trouble).
7. Czytelnia (z oddz. manicure),
8. biuro informacyjno-turystyczne,
9. Szkoła handlowa dla nowicjuszów wśród personelu,
10. 3 kluby dla personelu,
11. Organizacja amatorskiego teatru firmy p. n. „The Jollies",
12. Sekcja muzyczna (2 orkiestry i chór),
13. Klub Sportowy.
14. Redakcja własnego tygodnika „The Echo", poświęconego sprawom personelu.

Niezależnie od „F. C. A." pracują dla firmy: Kasa pomocy wzaj. i Tow. Kredytowe.

Rozbudowę przedsiębiorstwa cechuje podniesienie się sumy ogólnej ze sprzedaży towarów z 11 miljonów dolarów w 1916 roku do przeszło 25 miljonów dolarów w 1925 roku.

Z cyfr pomniejszych zwracają uwagę: 1½ miljona dol. za sprzedane obuwie w r. z.; ½ miljona dol. obrotu od gości w restauracji w ciągu 1925 roku; przeszło 250 tysięcy dol. jest wkładów na imię 1180 urzędników; 57000 dol. wypłaciła Kasa Ubezpieczeń firmy w 1924 — 1925 roku.

W budżecie firmy opłata personelu wynosi 60% ogólnych wydatków firmowych.

Porównując działalność braci Filene, możemy stwierdzić, że A. Lincoln Filene obok pracy czysto zawodowej popiera głównie ruch nowoczesnego amerykańskiego szkolnictwa handlowego.

Edward A. Filene natomiast jest zamiłowany specjalnie w kwestjach międzynarodowo - ekonomicznych i w sprawach pacyfikacji świata.

„A merchant's horizon" (Horyzont kupca), książka pierwszego, obraca się wokoło najżywotniejszych zadań udoskonalenia przedsiębiorstwa własnego i organizacji wewnętrznej; autor poświęca dużo uwagi urządzeniom społecznym, sądom „arbitrażowym" w firmie, emeryturze, wykształceniu personelu na wzorowych handlowców w firmowej szkole własnej i t. d.

Umysł Ed. A. Filene zajmują więcej kwestje produkcji, rynek popytu i podaży. Jego „The way out" (Droga naprzód) powstała pod wpływem zasadniczych zmian w ukształtowaniu się stosunków amerykańskiego handlu i przemysłu w okresie powojennym.

Autor uwydatnia najważniejsze problematy ekonomiczno-społeczne w ustroju doby obecnej i rozwiązuje je, dając na całej linji hasło: „Masowa produkcja towaru i masowa konsumpcja".

Wynika z tego prosta formułka t. zw. „fordizing" (fordyzacja) czyli przejęcie metody Forda, który, jak wiadomo, z niebywałem powodzeniem zdołał uprzystępnić każdemu przedmiot pierwszej potrzeby, jakim jest dla Ameryki samochód i jednocześnie zdobyć majątek biljonowy, pomimo że płace za robociznę u Forda są najwyższe na polu przemysłu w Ameryce.

E. Filene propaguje produkcję i sprzedaż masową najkonieczniejszych przedmiotów, po cenach możliwie niskich i woła: „big business", ażeby dla całego społeczeństwa żywność, odzież i dach nad głową (dom własny) były conditio sine qua non życia współczesnego. Zrealizowanie tego ideału da ludziom, obok warunków ułatwionych do zdobycia wykształcenia i możności rozkoszowania się pięknem i wiedzą, dopiero właściwą wolność duchową.

Naturalnie, społeczeństwo musi według autora zabezpieczyć się za pomocą kontroli odpowiedniej „Big business'u", w celu, by system ten nie przyjął formy monopolu i wyzysku przez kapitał.

Dzieła braci Filene uchodzą w Ameryce za najdalej sięgające przepowiednię logicznego rozwoju warunków ekonomicznych.

Pułk. E. A. House wypowiedział się za „propagowaniem tych teoryj w całych Stanach Zjednoczonych".

We Francji i w Anglji, w Niemczech dzieła Filene wyszły już w różnorodnych wydawnictwach.

Przyswojenie ich naszemu językowi mogłoby tchnąć nowego ducha w monotonję przesilenia gospodarczego, mogłoby nakłonić do stosowania nowych skutecznych i wypraktykowanych już na Zachodzie metod.

Waszyngton *Dr. Alicja Simonówna*

REAKTYWOWANIE MINISTERSTWA POCZT I TELEGRAFÓW



Bogusław Miedziński, ppułk. wojska polskiego, poseł na Sejm Rzplitej, b. komendant P. O. W. na okupację austrjacką, wybitny działacz strzelecki, został mianowany ministrem Poczt i Telegrafów

Fot Marjan Fuks

WRZENIE ANTIANGIELSKIE W CHINACH, PODTRZYMYWANE PRZEZ AGITATORÓW I PIENIĄDZE Z ROSJI SOWIECKIEJ



Sąd nad kobietami chińskiemi, które odważyły się złamać zakaz kupna towarów angielskich. Na ulicach miast chińskich obraz taki spotyka się teraz zbyt często.



Chińsko-bolszewicka kooperacja w walce przeciw anglikom.



Agitator bolszewicki przemawia do tłumów chińskich. Mowę jego tłomaczy student-chińczyk, który odbył studja „marksizmu“ w Moskwie.



Delegat M. S. Z. p. Łebkowski, szef sekcji dla mniejszości narodowych L. N. p. Colban i Eustachy ks. Sapieha w drodze na popołudniowe polowanie

Fot. Marjan Fuks



Fragment z polowania na dziki w lasach Deniskowickich Ordynacji Nieswieskiej Albrechta Ks. Radziwiłła 1. Ks Hieronim Radziwiłł, 2, Arcyks. Karol z Żywca, 3. Ks. Karol Ra1ziwiłł, 4. Ks. Ludwik Czetwertyński, 5. p. Olgierd Świda, 6. p. Ludwik Henszel, 7. p. Jerzy Antoni Bułhak



P. Prezydent Rzeczypospolitej wraz z gośćmi przed wyjazdem na polowanie. Stoją od lewej do prawej: Min. komun. Romocki (1), min Portugalji Quevedo (2), min. spr. zagr. Zaleski (3), szef. prot. dypl. hr. Przeździecki (4), pułk. Zahorski (5), dyr. Markowski (6). W aucie siedzi p. Prezydent Rzplitej

Fot. W. Załkowski

W SPALE I NIESWIEŻU



P. Prezydent (1), udający się na stanowiska. Obok prezydenta kroczą: szef prot. dypl. hr. Przeździecki (2), kap. Nagórny (3), za nimi por. Conte (4), rotm. Jurgielewicz (5). W głębi min. spr. zagr. Zaleski (6)

Fot. Światowid



P. Prezydent na stanowisku.



Min. pełnom. Portugalji p. de Quevedo na stanowisku w trakcie strzelania do przebiegającego dzika



P. Prezydent w otoczeniu min. Romockiego, posła węgierskiego Belitska, hr. Przeździeckiego, posła Portugalji de Quevedo, gen. Charpy, posła Danji Arnstedta, p. Kimensa sekretarza handlowego poselstwa angielsktego.

Fot. Swaitowid



J. Januszewski *Z plaży w Nizzy*

POETKA BARWY I RUCHU

(Z POWODU WYSTAWY P. W. CHEŁMOŃSKIEJ W PARYŻU)

Sztuka p. Wandy Chełmońskiej poza wspólną z jej ojcem miłością dla ludu polskiego niczem tego wielkiego malarza nie przypomina. Artystka kocha życie w jego objawach najbardziej intensywnych i barwnych, naturę stawiając na dalszym planie. Z prawdziwem mistrzowstwem ujmuje dynamikę ruchu: świąteczne procesje — z księdzem wznoszącym monstrancję w otoczeniu rzesz rozśpiewanych, niwę głów chłopskich pochyloną w ekstazie kornej przed kapłanem celebrującym mszę raz w skromnym wiejskim kościołku, to znowu w rzęsiście oświetlonej farze Jasnogórskiej. Na innym terenie podziwiamy rozmach siarczysty jej tłumnego oberka w sielskiej gospodzie...

Kompozycja u p. Chełmońskiej jest samorzutnie doskonała. Opiera się na równowadze naturalnej elementów dynamicznych i kolorowych, bez deformacji i bez podkreślania jaskrawego bryły przedmiotów.

Koloryt stanowi zasadniczy, podstawowy element jej sztuki. Upaja się, zanurza bez os[illegible]a w oceanie wibracji tęczowych światła. Przejawia się tu w pełni temperament artystki. Ale od zmysłowego niemal rozkoszowania się barwą bardzo szybko przechodzi ona do sfery wyższej. Żywa i bogata gama kolorystyczna uduchowia się i przekształca w wyrafinowaną, subtelną feerję. Odczuwamy zarazem całą szczerość instynktu religijnego, który wybujał w jej sztuce kwiatem mistycznym, korzeniami wrastając w głębie żyzne rzeczywistości?



W. Jurgielewicz. Portret ś. p. Mickiewiczowej (wykonany na dwa tygodnie przed śmiercią)

Ruch formalny, uzewnętrzniony w jej kompozycjach tłumu, zmienia się w studjach głów i w grupach w dynamikę uczuć, która odbija się w nastroju i charakterystycznym wyrazie modeli. Wesoły i filuterny czasami ten nastrój przechodzi niekiedy w ból głęboki, zrezygnowany (piękna grupa Matki z dziewczynką).

W kontakcie czujnym z prądami nowoczesnemi, a bez zrywania z tradycją, sztuka p. Chełmońskiej posiada dużo pierwiastków narodowych zarówno w treści, jak w swej formie. Potrafi ona wyrazić bogatą skalę uczuć i wrażeń, ale radość życia i jędrna, syntetycznie uproszczona wizja rzeczywistości nadają jej indywidualności malarskiej ton bardzo swoisty, odrębny. Cieszymy się szczerze, że twórczość naszej rodaczki znalazła należne jej uznanie w Paryżu, skoro państwo francuskie wybrało jeden z jej obrazów do Luksemburgu.

Paryż

E. Woroniecki

Z POWODU WYSTAWY P. W. CHEŁMOŃSKIEJ W PARYŻU



W. Chełmońska *Matka z dzieckiem*



W. Chełmońska *Oberek*

Fot. Giraudon



W. Chełmońska *Procesja*

Z BOYEM PRZEZ GĄSZCZ BALZAKA

POŁOWA DROGI PRZEBYTA!

Ze wszystkich gościńców dziewiętnastego stulecia wiedzie droga po przez przepastny balzakowski bór. Taki ten gąszcz głęboki, że nie sposób myśleć o jego przebyciu bez przewodnika. Narody starego i nowego kontynentu dawno już posiadają wzorowe baedeckery w kształcie wielotysięcznych przekładów „Komedji ludzkiej"; w zachodnich piśmiennictwach ma każde pokolenie przynajmniej po jednym „Balzaku", a współczesne Niemcy nawet t r z y monumentalne wydania! Nic dziwnego, że popularność twórcy „Ludwika Lambert" równoważy się tam dzisiaj nieomal z kultem Szekspira. Jakżeż łatwo turystom angielskim, włoskim, hiszpańskim, nie władającym językiem francuskim, poruszać się ze swobodą w otchłannym balzakowskim mateczniku, nito w pielęgnowanym, rozsłonecznionym parku!

A w Polsce...

A w Polsce, gdzie się tyle prawi o powinowactwie z romańską kulturą, czytano Balzaka za jego życia w oryginale dla mody, tak, jak nieprzymierzając o b e c n i e pp. Benoit'a czy de Margueritte. Balzakizowano podówczas z owym rozbrajającym snobizmem, który dostarczył Wilkońskiemu tematu do jednej z jego najpyszniejszych r a m o t. Jednocześnie zaś polscy „traduttori" poddawali wtedy teksty wielkiego pisarza rafinowanym torturom, skracając je, bywało,do połowy, przerabiając tytuły dla parafiańskiego smaku, opuszczając n i e r a z wszystko, co nie było samą awanturą. Potem nastąpiła długa przerwa swojskiego, symfonicznego milczenia. Dopiero w latach ośmdziesiątych dobrano się u nas znowu do tłumaczeń Balzaka; świadczy o tem kilkanaście tomów, wybranych z całości na chybił-trafił, a spolszczonych nieraz przez przygodnych wyrobników pióra z takim chłodem, jakby to były pierwsze lepsze romanse z paryskiego brzegu. Oto już i Mount-Everest balzakowskiego kultu w Polsce. Zdawało się wśród takich warunków, iż żywioł „Balzak" musi naszemu szerokiemu ogółowi pozostać nieznany. Pomyśleć: Balzak! Cały Balzak po polsku! Gdzież był siłacz, któryby ten trud atlasowy potrafił udźwignąć na swoich barach?

Aż oto naraz, zanim zdołaliśmy się spostrzec, znaleźliśmy się w samem sercu kniei balzakowskiej. Zgłębiamy ostępy, do wczoraj jeszcze dla polskiej stopy nieprzebyte, i nie frasujemy się wcale o marszrutę. Sam Boy „prowadzi bal!" Prawdziwie, jest coś niesamowitego w rozmachu, z jakim ten mocarz przekładu wziął na siebie niesłychany mozół spolszczenia całej „Komedji ludzkiej". Jakże mądrze obmyśla wielki architekt literackiej kultury francuskiej w Polsce swój plan przeprawy przez gęstwę Balzaka!... Nie trzymając się niewolniczo kolejności cyklów, wiedzie nas wspaniały cicerone zupełnie indywidualnie leśnemi duktami, przemierzonemi wprzód lotem najgłębszych ukochań. Lampa magicznego przekładu rozświetla z mistrzowską precyzją najbardziej niedostępne, zdawało się, mroki rozszumiałej puszczy, ukazując po raz pierwszy polskim oczom dziwy balzakowego zwierzyńca. Co za pandemonjum! Z głuchym, złowrogim pomrukiem krążą tu rozwścieklone bestje ludzkie, gotowe każdej chwili do straszliwego skoku po łup. Goreją po nocy rozjarzone ślepia wielkich drapieżców, tygrysów—Vautrin'ów, rysiów — de Marsay'ów, szakali— Gobsecków, wilków — Rastignacków, hyjen — Brideau. Cichym, elastycznym krokiem przebiegają tam i sam pantery z błyskami uroczego okrucieństwa w zmrużonych źrenicach: księżna de Langeais i mieszczka pani Marneffe i kurtyzana Estera. Błąkają się biedne, oszalałe namiętnością, zwierzęta ludzkie: Hulot, niewolnik rozuzdanej zmysłowości, stary Goriot, rab miłości rodzicielskiej. A trwożne zawsze o swój los pomykają karczowiskami, nie chcąc na siebie zwracać uwagi rozpętanej fauny, niewinne, bezbronne stworzenia, nie posiadające ani kłów, ani pazurów dla obrony; poczciwe księżysko z Tours i stara panna de Cormon i kobieta trzydziestoletnia i dziewczyna o złotych oczach, Paquita. Wszystkie czarty i anioły wszystkie! „Komedja ludzka"! Patrzymy ze zdumieniem po przez dymiące wary rozkiełznanych instynktów na nas samych, na syntezę naszej własnej, codziennej rzeczywistości, wyrąbaną olbrzymiemi, jakby apokaliptycznemi ciosami. Żyjemy życiem potężnie zwielokrotnionem, dając się porwać wichrom burzy twórczej Balzac'a, tego księcia Prospera powieści. Otwierają się przed nami karty Dzieła, o którem powiedziano, że „wszystkie jego książki tworzą jedną książkę — książkę żywą, tryskającą światłem, głęboką, gdzie przesuwa się, krąży, porusza, napiętnowana jakimś lękiem i grozą w zespoleniu z realnością cała nasza cywilizacja współczesna.." (V Hugo).



Balzak

Szumi głęboko balzakowski bór. Połowa już drogi przebyta. Idźmyż wytrwale za Boyem do krańców puszczy, aby ogarnąć stamtąd okiem całość jednego z najwspanialszych widowisk świata!

Emil Henner

Massimo Bontempelli

(przed premierą „Naszej Boginki" w Teatrze Małym

Massimo Bontempelli, to jeden z najciekawszych umysłów literackich współczesnych Włoch. Twórca, w którego pracach myśl rywalizuje z nieograniczoną fantazją, zmienną i ruchliwą, jak fala. Kameleon wrażeń i ekspresji. Człowiek poszukujący nieustannie maximum wypowiedzenia się, ale nie błąkający się nigdy nieświadomie wśród kierunków i rodzajów literackich.

Niewiadomo nigdy, co mu bliższe: czy mgła zadumy, którą owiana jest nowela „Guardare nel sole", lub „Clemenza del mare", — czy z niewzruszonym spokojem nagromadzony i opowiedziany splot nieprawdopodobnych sytuacji, rzucających czytelnika o ziemię i bezlitośnie tarzających go w niepohamowanym śmiechu, wywołanym tą świetną groteską, jaką jest „Aventure di terra e di mare".

Mózg Bontempellego dostrzega i chwyta wszystkie kontrasty życia realnego. Chwyta je z niezwykłą dokładnością. Fantazja zaś snuje jednocześnie swój nierealny sen poezji. Dwie sprzeczne sfery myślowe zderzają się w umyśle tego zimnego poety, wytwarzając niezwykłe harmonijne współżycie najszczerszej poezji, wyrafinowanej fantazji i płynącego od niechcenia, bez celu, szyderstwa.

Kontrast marzenia i rzeczywistości u Bontempellego nie jest podkreślany jaskrawo, rewelacyjnie, desperacko. Przeciwnie — kontrasty te tak są ze sobą splecione, iż żyją zgodnie w każdem niemal zdaniu.

Ani te obserwacje „z życia", ani wyśmiewanie cudzych nałogów czy trywialności, ani komizm kpiarski; — wszystko raczej polega na sposobie wypowiedzenia, mającym coś z naiwności filozofa, zakładającego karty swych ksiąg mądrości kwiatami polnemi, zbieranemi własnoręcznie na samotnych spacerach o godzinie zachodu.

To harmonijne współżycie elementów czyni właśnie ironję, śmiech, szyderstwo, poezję, myśl, spojrzenie Bontempellego czemś zupełnie odrębnem w literaturze włoskiej.

Autor kilku tomów fantastycznych nowel, kilku komedji, (a ostatnio twórca „900", mającego zgrupować czoło młodej literatury włoskiej w grupę świadomą) w karjerze swej twórczej z równą łatwością, jak świadomością przebiegł kierunki literackie od krańca do krańca. Klasyk, wyznawca ortodoksyjny starych reguł pisarskich, realista przed wojną, staje się niespodziewanie futurystą w okresie upadku futuryzmu, zaczyna pisać białym wierszem i umieszcza w „Corriere della sera" opowieści rewolucjonizujące w porównaniu ze swą twórczością przedwojenną. *Idzie z futuryzmem, biorąc jego impet, ale zachowując siebie.*

Sądząc z ostatnio wydanych tomów, możnaby go dzisiaj zakwalifikować jako ironistę. Przed tem sprecyzowaniem jednak broni Bontempellego ta suma poezji, która kryje się w każdym jego utworze.



Massimo Bontempelli

Bontempelli nie chce budzić melancholji dla podkreślenia rozczarowań, że „tak nie jest" w życiu, jak by pragnęła fantazja, jak sobie wyśniło marzenie. Nie smaga życia za to, że jest takie, jakie jest. Nie chce go uleczać miksturą swego sarkazmu. Nie potępia go, ani rozgrzesza za zwycięstwo materji nad intellektem.

Nie jest karzący ani przebaczający, ani smętny. Ma wobec rzeczywistości szeroko otwarte, zdumione oczy dziecka, co widzi wszystko, żaden kontrast nie ujdzie jego obserwacji, a mimo to jest niepoprawnie wierny swej oderwanej fantazji. Żegluje z nią wśród skał rzeczywistości, zapatruje się w białą pianę fal prześwietloną słońcem, nadyma żagiel świstem swej ironji, bije radosnym, niesamowitym śmiechem swych wioseł w toń wchłaniającą jego oczy i myśl.

I płynie.

Dziś ten człowiek, koło czterdziestki, staje na czele najmłodszych. Futuryzm był dla niego okresem przejściowym, narzędziem, nie stał się jednak wiarą, jako „skonsolidowany kierunek". Wziął zeń Bontempelli to, co było w nim szczere, żywe, silne, tak, jak wziął z realizmu to, co było niezbędne dla prawdziwego twórcy, a co stawało się wykoszlawieniem fotograficznem u pisarzy o wątłym talencie. Dziś niema Bontempellego oficjalnie wśród futuryzmu zorganizowanego, ale wśród jego grupy „900" znajdzie się wielu futurystów istotnych — idących naprzód, tworzących szczerze, szukających wypowiedzenia się i... posiadających talent.

Wielkim walorem Bontempellego jest jego język. Niema w nim zdawkowego gadulstwa, łatwej gry słów, tanich efektów. Język ten jest zwarty, jędrny, silny, pozbawiony niepotrzebnej ornamentacji. Oszlifowany i ostry, jak drogie kamienie, gra pełnią blasków, jak one. Ten język, oraz sposób wypowiedzenia się stanowią ów specjalny czar ironisty pozostającego wiecznym poetą, żyjącego w harmonji jednocześnie ze swą fantazją i mózgiem. W budowie swych nowel czy opowieści posiada Bontempelli tę wielką zaletę, iż siejąc pełnemi garściami humor i poezję, nie wyzbywa się ich do końca, umiejąc zawsze zachować najbardziej kapitalną pointę dla zdania ostatniego, zamykającego jakby drogocenną klamrą całość utworu.

Wśród sztuk teatralnych Bontempellego, pierwszą był „Płot od północo-zachodu". Akcja w niej rozgrywa się jednocześnie w świecie urojonym i realnym. Występują jednocześnie aktorzy, marjonetki i kukiełki. Odrębne światy, żyjące każdy swem życiem, łączą się tam w akcji współrzędnej. Ten pomysł jest niejako symbolem twórczej myśli Bontempellego. Wystawienie tej sztuki, technicznie nader trudne, dokonane było tylko w bojowym futurystycznym teatrze niezależnych Bragaglji w Rzymie.

Druga sztuka — to tragedja matki obłąkanej po stracie dziecka, przypisującej tę śmierć księżycowi i walczącej z tą mocą, aby uchronić inne dzieci, na które księżyc czyha. „Straż przy księżycu" ma momenty silne, dramatyczne i pełne grozy. — Trudność jej wystawienia polega na tem, że skonstruowana została w formie siedmiu obrazów.

Ostatnia sztuka, „Nostra Dea", (którą wkrótce wystawia teatr Mały) — jest groteską. Groteską bezpretensjonalną. Ocenę jej szczegółową pozostawiam teatralnemu referentowi „Świata", kol. Breiterowi, zaznaczając tu tylko, że cieszyła się olbrzymiem powodzeniem we Włoszech, a ostatnio w Hiszpanji.

Komedja ta powinna być traktowana w wykonaniu niemal jak zwykła komedja tradycyjna, bez przejaskrawienia momentów groteskowych, które są dostatecznie wymowne same przez się, bez doszukiwania się symbolizmu. Błąd niewłaściwego „głębokiego" traktowania tej sztuki popełniła Pawłowa, grająca bohaterkę w Medjolanie i doszukująca się w każdem niemal zdaniu ukrytych myśli i symbolicznych znaczeń.

Teatr Pirandella w Rzymie grał ją zupełnie inaczej, według wskazówek autora: jak lekką, bezpretensjonalną komedję, której urok polega na tem samem, co stanowi wdzięk Bontempellego w utworach niescenicznych, a mianowicie na opowiadaniu z najnaturalniejszym spokojem opinji i faktów najnieprawdopodobniejszych.

* * *

Nowelista, autor teatralny, świetny stylista, wódz organizującej się obecnie przedniej straży literatury włoskiej, szukającej nowych dróg, poeta i fantasta, mózgowiec i ironista, — oto Massimo Bontempelli, jeden z najciekawszych autorów i umysłów literackich Włoch dzisiejszych.

Leon Chrzanowski

Polowanie na autorów

Jest to jedno z najmilszych polowań. Odbywa się dorocznie podczas wielkiego sezonu teatralnego w Warszawie.

Autor dramatyczny polski posiada już ustaloną myśliwską tradycję jako amatorska zwierzyna, na którą polować jest nielada rozkoszą.

Autor dramatyczny polski rzadko kiedy wychodzi na strzał — nie dlatego, żeby z natury był lękliwy — ale musi przecież zarabiać na życie inną jeszcze pracą.

Wystawianie sztuk, to nie jest praca zarobkowa, to namiętność — jak gra lub narkotyk. Kto raz sprobował, jest nieuleczalny.

Wiedzą o tem myśliwi i dlatego przed sezonem polowań organizują wabia. Jest to wywoływanie wilka z lasu.

Pisze się wtedy w jednym ze stołecznych dzienników sentymentalny artykuł o ochronie tak zwanej „oryginalnej twórczości dramatycznej". Jest to jednocześnie pobudka dla dyrektorów teatru, aby zechcieli łaskawie zostać gospodarzami łowów.

Pojawiają się rozprawy o tradycjach dramatopisarskich w Polsce, wymienia się z nabożeństwem wielkie imiona autorów-nieboszczyków.

Porusza to autorów żywych. Jednocześnie rozchodzą się pogłoski, że w jednym z teatrów dyrektor po wielu nieprzespanych nad powzięciem decyzji nocach, pomodliwszy się, jako przed krwawą i niebezpieczną wyprawą, postanowił zagrać sztukę polską, która od sześciu lat czekała zmiłowania.

Niech się dzieje, co chce!

Zapowiedź o polskiej premjerze i związanem z nią polowaniu wywołuje radość wśród myśliwych.

W tym to okresie zdarzają się spotkania krytyków z autorami, wymiana słów pełnych otuchy i wspaniałomyślności z jednej, wyrazów niepokoju i trwogi — z drugiej strony.

Tak mniej więcej możnaby sobie wyobrazić djalog strzelca z zającem na miedzy — w okresie zawieszenia broni.

W tym czasie, opanowani namiętnością teatralną autorzy tracą podobnie jak głuszec wzrok, słuch i wszelką czujność, nie zdając sobie sprawy z czyhającego na nich niebezpieczeństwa.

Nadchodzi nareszcie długo oczekiwany dzień wesela — dzień Św. Huberta!

Wszyscy na stanowiskach. Kurtyna wolno podnosi się do góry, ze sceny padają pierwsze zdania, drżą serca i drży dyrektor w gabinecie.

Po skończonym akcie pojawia się na scenie wzruszony autor.

Na strzał!

Od tej chwili zaczyna się kanonada.

Różne są rodzaje strzelców wśród naszych znakomitych nemrodów. Są między nimi przygodni amatorzy, niedość obeznani z terenem i bronią, są entuzjaści, strzelający z przyrzutu, są wreszcie chłodni i wyrachowani, co mrużąc oko, wolno i umiejętnie celują.

Wszystkich łączy jedna wspólna żądza — niespudłowania.

Kanonada grzmi przez parę dni z za biurek redakcyjnych.

Różne przytem bywają gatunki broni, używane przez strzelców. Nie wszyscy walczą argumentami i dowcipem. Są tacy, którzy uzbrojeni w „krzepkie" słówka, gotowi walić w autora byle czem, co pod ręką. Są wreszcie i tacy, którzy nie biorą udziału w tej swojskiej zabawie, stojąc na uboczu i kiwając głowami nad dziwną ewolucją rodzimych obyczajów.

Cóż się jednak zazwyczaj dzieje z autorem, który wzięty w krzyżowy ogień, czeka w milczeniu na strzał śmiercionośny?

Zdawaćby się mogło, że już, nieboszczyk. Tymczasem dzieją się często rzeczy niespodziane. Im więcej huku i dymu, tem mniej krwi—są autorzy, którzy z takiego ognia wychodzą zgoła zdrowi, bo strzelać to niekoniecznie trafiać...

Są autorzy, którzy w takim ogniu rozwijają się, nabierają odporności — a po niejakim czasie drwią sobie z wycelowanych srodze luf. Są tacy, w których żyłka hazardu i grania z niebezpieczeństwem jest tak silna, że gotowi co rok rozpoczynać na nowo.

Bo jest prawda, która prawie zawsze zwycięża: talentu nie ustrzeli!

M. Fijałkowski

Drobiazgi teatralne

HANNIBAL ANTE PORTAS...

Za kulisami teatrów krążą niepokojące pogłoski. Oto znów hymen ma porwać w swe objęcia dwie najcenniejsze gwiazdy dramatyczne młodszego pokolenia. Znów dwa świetne małżeństwa: wiadomo, że najlepsze partje teraz robią artystki. Panny z towarzystwa, pragnące dobrze wyjść za mąż, powinny wstępować do teatru, to najlepsza droga do ołtarza... po puszystym dywanie. Powiecie: — Cóż w tem dziwnego, że młode i urocze artystki wychodzą za mąż? Objaw całkiem naturalny. Niezupełnie. Bo, jak uczy doświadczenie, małżeństwo w życiu polskiej artystki łączy się przeważnie z ustąpieniem ze sceny. Zapoczątkowała to—niegdyś, stojąc u szczytu powodzenia, niezapomniana „Popielka",—znalazła później liczne grono naśladowczyń. Czy te urocze panie z teatru, którym zakulisowa fama przypisuje matrymonjalne projekty, mają zamiar również opuścić scenę? Byłaby to niepowetowana strata. Brak kobiecych talentów aktorskich jest dotkliwy. Od kilku lat Szkoła Dramatyczna wyjałowiła się pod tym względem. Braknie dopływu świeżych sił.

Jest to jednak fakt znamienny. Polka nie lubi kompromisów. Albo teatr, albo życie codzienne: mąż, dzieci. Oczywiście, są wyjątki. Wyjątki wysokiej wartości. Czy nowe kandydatki teatralne do stanu małżeńskiego zechcą do nich należeć?...

SZTUKA POZAGROBOWA

Paryski teatr Pól Elizejskich wystawił trzyaktową sztukę angielskiego poety, p. Sutton Vane p. t. „Na pełnem morzu". Temat bardzo oryginalny: okręt wiezie garść podróżnych, — okręt bez kapitana, bez marynarzy, bez świateł. Cóż to za statek, jacyż to podróżni? Okazuje się, że ów wielki steamer, to nowoczesna łódź Charona, wioząca zmarłych. Innemi słowy, cała akcja odbywa się po śmierci, przyczem, w koncepcji autora, życie pośmiertne wcale podobnem jest do ziemskiego. Koncepcja dość naiwna, ale naiwnością poety, naiwnością, która posiada śmiałość i swoisty wdzięk. I wskutek tego sztuka p. Sutton Vane doznała w Paryżu tego samego powodzenia, jakiem się cieszy od 3-ch lat w Londynie i jakiem zapewne wkrótce będzie się cieszyć w Warszawie.

KONKURS CHOPINOWSKI

Fot. „Prasa"



Uczestnicy konkursu. Pianiści zagraniczni: Robert Goldsand (Wiedeń), J. Ugliuszkow (Rosja), Szestakow (Rosja), Ginzburger, L. Oborin (Rosja), Gertruda Swoboda (Szwajcarja), L. Rajchold (Łotwa), W. Mombaertes (Belgrad), Thec van der Par (Holandja), oraz polscy pianiści: B Wojtowicz, St. Chętkowski, L. Müncer, Wanda Piasecka, H. Sztompka, H. Janasówna i R. Etkinówna. Przewodniczącym konkursu jest Al. Michałowski

Pierwszy wielki Turniej artystyczny w Odrodzonej Ojczyźnie

Jedna z największych uroczystości kulturalnych, jaką od czasu powstania wolnej Ojczyzny przeżywamy w Warszawie. Chodzi o uczczenie wielkiego twórcy polskiego nie mowami, nawet nie wieczną ozdobą pomnika — a czynem artystycznym. W szranki stają młodzi wykonawcy, pianiści z wszystkich krajów Europy. Mają w szlachetnej emulacji walczyć o pierwszeństwo w przechowaniu tradycji szopenowskiej.

Turniej ten jest więc do pewnego stopnia rewją, nietylko techniki pianistowskiej, nietylko kultury muzycznej danego kraju, lecz sprawdzianem najlepszego stylu i historycznego rozumienia naszego nieśmiertelnego Mistrza.

W świecie pianistów podniecenie niebywałe. Obcy goście przyjechali już na kilka dni przed rozpoczęciem konkursu, ale nigdzie ich nie widać. Każdy pozostaje u siebie, przeważnie pod opieką poselstwa swego kraju i pracuje przy fortepianie.

Grupa polska otrzymuje ostatnie „dotknięcia" od swych mistrzów.

Do walki staje trzydziestu młodych muzyków. Sędziować będą polscy wybitni pianiści. Oto czekają już przed estradą Filharmonji, zebrani wokół sędziowskiego stołu. Są wszyscy, których znamy z występów i z pedagogiki. Brakuje Śliwińskiego. Podobno uchybiono mu w terminie zaprosin, potem starano się „uchybienie" wyrównać, — mistrz jednak nie dał się już przebłagać.

Niema chyba na świecie tak drażliwych ludzi, jak pianiści. Zdaje się nam, że ze względu na wagę i znaczenie konkursu trzeba było przebaczyć sobie małe niedociągnięcia i stanąć wspólnie do pracy.

Nie widzimy pośród sędziów dzielnej i bardzo na niwie wykonania polskich kompozytorów zasłużonej p. Robowskiej. Rozważny jej głos i wytrawne znawstwo wspomogłoby napewno owocne prace sędziów. Po za Śliwińskim i Robowską są chyba „wszyscy".

Sędziowie pianiści denerwują się, jakby sami mieli za chwilę wystąpić.

Rozglądamy się po sali. Jest pełno,— nawet na tych uroczyście pustych zawsze balkonach Filharmonji. Wyższa Szkoła Muzyczna urządza konkurs tak, by jaknajszersze rzesze publiczności mogły wziąć udział w uroczystości. Wejście kosztuje 2 złote. Publiczność ożywiona, mająca już swoich wybrańców w spisie pianistów, dyskutująca namiętnie szanse młodych wirtuozów, których niejednokrotnie poprzedza rozgłos a nawet sława.

W pierwszych rzędach, zarezerwowanych dla „śmietanki" stolicy, organizatorowie konkursu, cały świat muzyczny, dość licznie obesłany korpus dyplomatyczny. Niema natomiast prawie zupełnie przedstawicieli innych sztuk. Nie widzimy wielkich naszych malarzy, aktorów, niema prawie nikogo z literatury, prawie nikogo z uniwersytetu.

Rzecz doprawdy niepojęta! Bez przesady można powiedzieć, że Europa „pianistyczna" czeka wyniku tego turnieju z „zapartym oddechem", że o ile chodzi o międzynarodowe „igrzyska" artystyczne, — konkurs chopinowski jest jednem z pierwszych po wojnie światowej i najpiękniejszych. Nasze sfery intelektualne zachowują jednak wobec tego wydarzenia zupełną obojętność.

Zaczynają się przemówienia. Dowiadujemy się z nich, iż myśl rzucona początkowo i ofiarnie podtrzymana przez profesora Szkoły, doskonałego pianistę, Żurawlewa, wykonana ostatecznie przez Szkołę z pomocą Rządu i Miasta, inicjatywa tego międzynarodowego turnieju chopinowskiego nie będzie — inicjatywą ulotną.

Szkoła dąży do tego, by utworzyć fundację, tak, by wielkie międzynarodowe zawody chopinowskie odbywały się w Warszawie co pięć lat.

Rozpoczyna się turniej. Pierwsze numery w kolejności występów wyciągnęła grupa polska. Wojtowicz, Chętkowski, Müncer.

Po wykonaniu pierwszych utworów przez Wojtowicza publiczność „nie wytrzymuje" i zaczyna bić brawo.

Rzecz oczywista, na konkursach tego rodzaju oklasków dawać nie można. Z tysiąca powodów... By nie wpływać na sędziów, nie zabierać czasu, nie denerwować pianisty.

Nie wolno dawać oklasków i nie wolno pisać w dziennikach recenzyj podczas przebiegu konkursu. Zaczęli konkurs Polacy, nie możemy ich jednak ani chwalić, ani ganić, by nie „urabiać opinji".

Drugi dzień zawodów wywołuje jeszcze większe napięcie. Grać będą „nasi" na przemiany z cudzoziemcami, wśród których „znawcy" upatrują niebezpiecznych współzawodników, jak „bolszewika" Oboryna, Goldsanda (który jest ulubionym uczniem „samego" Rosentala) i belga Mombertsa.

Publiczność słucha z przejęciem, zachowuje się doskonale, cicho. Nie kaszle, nie chrząka, nie rozmawia.

Z głębi estrady patrzy na młodych artystów, poprzez otwarte wieko fortepianu, marmurowy posąg Chopin'a, owity zielenią.

Słyszy się Go tu bezustanku, niejednokrotnie tę samą kompozycję, nie zawsze przecie najlepiej wykonaną. Słyszy się Go „pod rząd" bez najmniejszego znużenia. Zawsze świeży, zawsze genjalny, uroczy, czarujący.

Konkurs trwać będzie cały tydzień. Jak sędziują sędziowie?

Na punkty. Do dwunastu, utworzywszy poszczególne rubryki, jak wykonanie techniczne, rytm, artyzm, poczucie stylu chopinowskiego. Zdobywcy największej ilości punktów staną do ostatecznej rozgrywki, do wykonania koncertów fortepianowych, poczem laureaci otrzymają nagrody, pod patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej.

jkb.

Z FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ



Jerzy Lalewicz, znakomity pianista i pedagog, profesor konserwatorjum w Buenos Ayres, grał z wielkiem powodzeniem na piątkowym koncercie w Filharmonji

KSIĄŻĘ—JENIEC MIKOŁAJA I

Wspomnienia o Romanie ks. Sanguszce

Wola monarchy rosyjskiego nie podlegała żadnym przepisom, ani normom prawnym. Odczuli to nieraz na swojej skórze poddani dawnego carstwa. Dotkliwiej dawała się we znaki ta władza, pochodząca od „sił nadprzyrodzonych", narodowościom podbitym, oszukanym, uciemiężonym. Car wtedy wyrastał na instytucję niedostępną a decydującą; rosjanin mógł jeszcze w jakiś sposób znaleźć drogę do tronu; gorzej było z „inorodcami". Tym radzono najlepiej nie reagować, nie starać się, nie zabiegać. Car wszystko wie i wola jego jest święta!

Nic dziwnego, że carat był znienawidzony przez wszystkich. Polacy w ogólnym tym chórze uczuć ujemnych zajmowali specjalne miejsce. W stosunku do nas carowie rosyjscy zachowali się nieraz wyzywająco a nieszczerze. Pamiętamy przyrzeczenia Aleksandra I, króla polskiego, którego gładkie słówka nie znalazły nigdy potwierdzenia w czynach. Mikołaj I, zdetronizowany przez sejm roku 1830, nie krępował się już w pokazywaniu swoich absolutystycznych instynktów. Słabych gniótł bez pardonu. Możnym dawał również odczuć swoją samowolę.

Ukazały się obecnie pamiętniki ks. Klementyny z Czartoryskiej Sanguszkowej, matki Romana ks. Sanguszki, zesłańca na Sybir w r. 1831. Z pamiętnika tego dowiadujemy się, jak nieubłaganym był Mikołaj I. Wpływ żony nic nie znaczył dla niego. Wstawiennictwo następcy tronu pruskiego nic nie ważyło. Do irytacji doprowadziła go interpelacja w parlamencie angielskim. Jak śmią wtrącać się w sprawy jego imperjum. By okazać lekceważenie, wydaje rozkazy pogarszające los Sanguszki.

A była to rzeczywiście tragedja. Kozacy schwytali oficera polskiego Stanisława Lubartowicza, który jechał z rozkazami od dowództwa. Tego rodzaju fakty zdarzają się w każdej wojnie. Schwytany zostaje jeńcem, a po skończonej wojnie wraca do domu. Mikołaj I w stosunku do księcia Romana Sanguszki zajął inne stanowisko. Uznał go za... zdrajcę, bo dobra Sanguszkowskie znajdują się na Wołyniu, a więc poza granicami b. Królestwa Kongresowego. Kazał więc pognać go na piechotę, skutego ze zbrodniarzami na Sybir. Nie pomogło wstawiennictwo matki. Dopiero gdy Sanguszko przybył do Tobolska, na znak „łaski" zrobiono go linjowym żołnierzem. Następnie przeniesiono na Kaukaz i po wojnie z Gruzinami, ranie, awansowano na oficera. I wtedy nie wolno mu było powrócić. Musiał jeszcze urzędować w Moskwie, choć był głuchy, schorowany, znużony. Po siedmiu latach poniewierki wraca do Sławuty. Mimo kalectwa nie ustaje w pracy. Jego zabiegi podnoszą gospodarczo całą okolicę. Roman ks. Sanguszko staje się ośrodkiem życia społecznego, obywatelskiego i humanitarnego. Uwłaszcza włościan w swoich majątkach przed dekretem Aleksandra II.

Jest zawsze żywym pomnikiem polskiej, jagiellońskiej racji stanu. W każdej sytuacji życia umiał znaleźć się po-męsku, godnie, jak Polak. Nie ugiął karku przed petersburskim kacykiem, on, potomek wielkich książąt litewskich, spadkobierca rodowej, herbowej „Pogoni", do której jego zasługa dodała hasło „Z przekonania". Przed sądem rosyjskim zeznał bowiem, że na wojnę 1830 r. poszedł z własnej woli, „z przekonania".

Zapewne ta dumna odpowiedź wytrąciła z równowagi Mikołaja I. Nie szczędził też upokorzeń, znęcań się nad skrępowanym jeńcem.

Jak wyglądały warunki etapowego marszu na Sybir, notuje p. Sobańska; spotkała ona Sanguszkę w okolicach Permu. Gdy go zapytała, jak się czuje, wyznał, że cierpi ogromnie; odkrył piersi i ramiona, były jak jedna rana, tak go zjadło robactwo.

O warunkach moralnych lepiej nawet nie wspominać; towarzystwo rzezimieszków, bandytów, zbrodniarzy nie może oddziaływać budująco. Okazuje się jednak, że ta plaga była nie najgorsza. Komendanci etapowi pozostawiali po sobie pamięć odrażającą. Jak zachowywali się ci kacykowie, wystarczy przypomnieć takie zdarzenie:

„Zostało mi jakie 700 rubli z pieniędzy, które przysłał mój ojciec, mówi R. Sanguszko. Schowałem je pod podszewkę swej czapki. lecz zrana, przebudziwszy się, spostrzegłem, że mi je skradziono podczas snu. Zwróciłem się wtedy do moich przyjaciół brygantów i opowiedziałem im o swej stracie. Ludzie ci, zaledwie mnie wysłuchali, spostrzegli oficera. Rzucili się hurmem na niego, schwycili go za gardło, ściskali i dusili, nakazując, aby natychmiast zwrócił pieniądze, które mi zabrał. Przyciśnięty do muru, oddał mi je w całości".

Opowiadanie to wskazuje, przez jakie piekło brnąć musieli więźniowie polityczni. Warunki te niewiele zmieniły się i później. Poznały je liczne pokolenia naszych szermierzy o wolność. Żadne przepisy sanitarne czy humanitarne nie były honorowane w Rosji. Car decydował według swego „widzi mi się", czemużby byle „uriadnik" nie miał postępować inaczej?. Od góry do dołu wszystko w Rosji zbudowane było na humorze. Opłakane dało to rezultaty. Nie prawo, lecz dobry lub zły humor urzędniczyny przesądzał o zdrowiu, spokoju i mieniu obywatela. Czy Polska konstytucyjna, Polska kongresu wiedeńskiego i tradycji własnej politycznej mogła współżyć z tego rodzaju tworem państwowym? Powstania, spiski, zamachy — oto odpowiedź na gwałty.

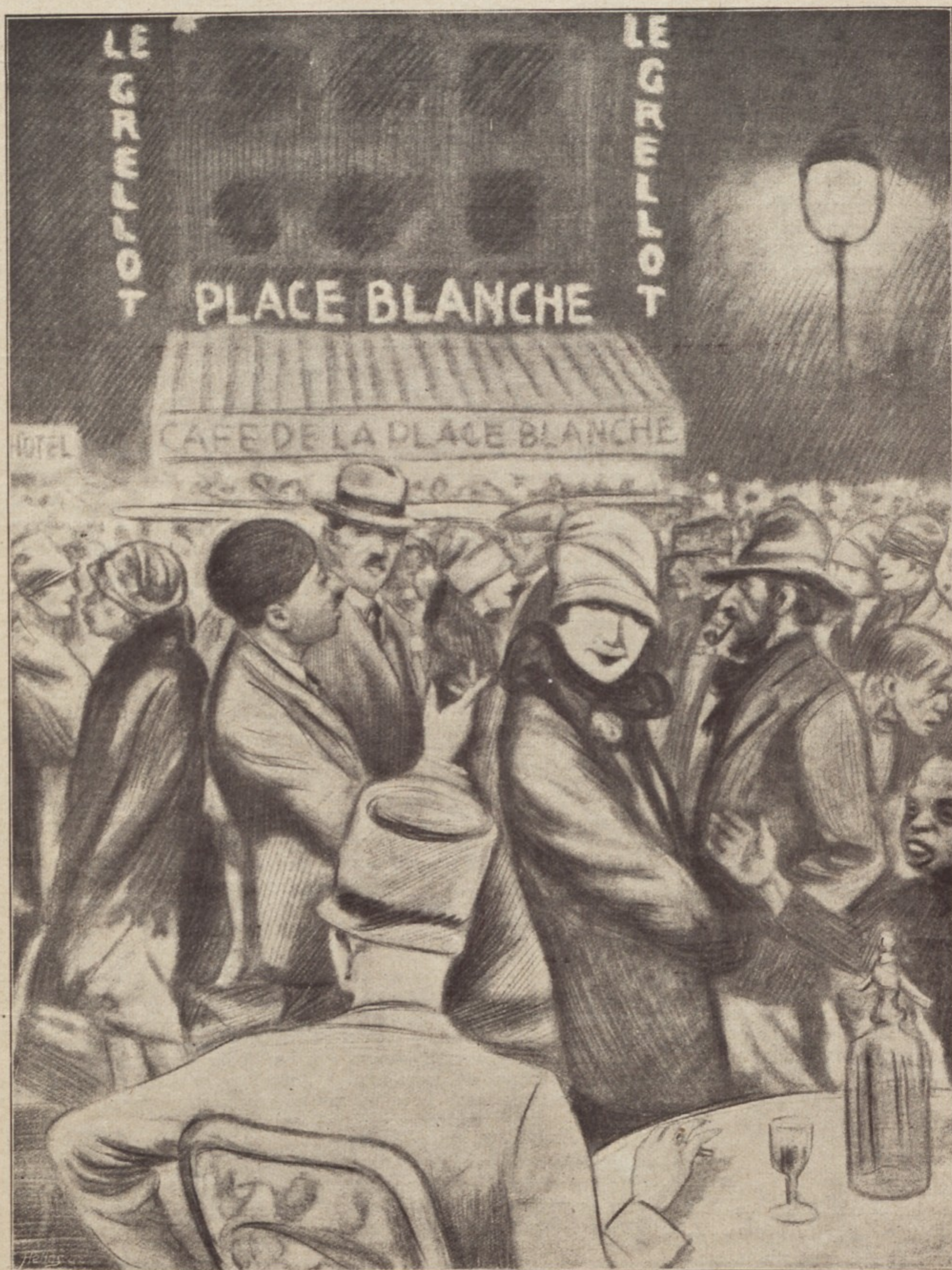
Wspomnienia ks. Klementyny Sanguszkowej przyswoiła mowie polskiej i opracowała na podstawie niewydanych dokumentów p. K. Firlej-Bielańska, autorka książki o Nullu. Słowo wstępne napisał Józef Potocki, prawnuk po kądzieli księcia Romana. Przedmową opatrzył te wspomnienia znany historyk H. Mościcki, autor licznych, cennych prac, malując tło wydarzeń 1831 roku na Litwie i Rusi.

Przypomnienie tragicznych losów Romana ks. Sanguszki zapewne spotka się z szerokim oddźwiękiem we wszystkich warstwach społecznych. Był to bowiem człowiek, co „przed katowskim nie zbladł obliczem, ani spłonił na widok powroza". Cześć jego świętej i zacnej pamięci! Słowa jego:

— chcę dowieść, że krew szlachetna zdolna jest do największych poświęceń i największych ofiar" wdzięczny naród przechowa w dziejach swojej walki o wolność, jako talizman.

Eustachy Czekalski

KARNAWAŁ NA PARYSKIM MONTMARTRE



Paryż nocą podczas karnawału w dzielnicy Montmartre. W pobliżu Moulin-Rouge

Z TYGODNIA

Pojawiła się książka, traktująca o sprawach bardzo aktualnych. Każdy, kto interesuje się sprawami politycznemi, powinien ją jak najrychlej kupić i czytać. Nauczy się bowiem z niej wiele, mimo że samo dzieło nie jest najpierwszej młodości. Liczy blisko 200 lat. A jego tytuł: „O Duchu Praw". Autor — Monteskjusz. Nowego doskonałego przekładu dokonał Boy-Żeleński.

Weźmy parę oderwanych cytat:

— W ustroju monarchicznym zdarzają się nierzadko cnotliwi władcy; bardzo trudnem jest, aby w monarchji lud był cnotliwy.

Dlaczegoż to?

Bo nieodłącznym atrybutem monarchji jest dworactwo.

— Ambicja przy próżniactwie, płaszczenie się przy dumie, chęć wzbogacenia się bez pracy, wstręt do prawdy, pochlebstwo, zdrada, przewrotność, zaniedbanie wszystkich zobowiązań, lekceważenie powinności obywatela, obawa przed cnotą monarchy, nadzieje, czerpane w jego słabostkach, i więcej, niż to wszystko, — ustawiczne ośmieszanie cnoty, oto powszechne charakterystyczne cechy dworaków wszystkich czasów i miejsca.

— Kardynał Richelieu przestrzega w swym testamencie politycznym, że gdyby się znalazł wśród ludu jakiś nieszczęsny uczciwy człowiek, król nie powinien się nim posługiwać. Tak dalece prawdą jest, że cnota nie jest sprężyną tego ustroju rządu.

— Kiedy w rządzie ludowym (demokratycznym) prawa pójdą w niepamięć, państwo jest zgubione.

Ileż to razy wydaje nam się, żeśmy wynaleźli jakąś nową prawdę, wyłonili z siebie jakąś nową myśl. Czytajcie Monteskjusza, a przekonacie się, ile z tych prawd i myśli, które pokazują się nam całkiem nowoczesne, było wypowiedzianych jasno i trafnie już przed dwoma wiekami!

. . . .

Z lekką komedją francuską zaczyna współzawodniczyć z powodzeniem farsa amerykańska. Import paryski szerzył i popularyzował kunszt erotyzmu, zwłaszcza w kierunku zdrady małżeńskiej. Produkt amerykański zaznajamia nas z metodami, jakich rzekomo trzyma się nowoczesny yankes w zdobywaniu dolarów. Niektórzy z naszych krytyków przyjęli farsę amerykańską z entuzjazmem. — Oto nareszcie podmuch świeżego powietrza z za Atlantyku! Ta świeżość wydaje mi się podejrzaną. W erotycznych, cokolwiek jednostajnych spekulacjach komedjopisarzy francuskich swywola, niekiedy ryzykowna, prawie nigdy nie obraża zasad etycznych: farsa francuska bywa często nieprzyzwoita, prawie nigdy — niemoralna. Wprost przeciwnie, jak farsa amerykańska, która — w tych specymenach przynajmniej, jakie dano nam poznać, — jest wzorowo przyzwoita i zdecydowanie niemoralna. Cóż widzieliśmy w „Dniu bez kłamstwa", w „Tajemnicy powodzenia", w wystawionej obecnie „Potędze Reklamy"? Zachłanną żądzę zdobycia pieniędzy, brak wszelkich skrupułów moralnych. Farsa francuska zawadza wciąż o łóżko; farsa amerykańska — o kryminał. Bohaterem farsy francuskiej jest zdobywca wdzięków niewieścich. Bohaterem farsy amerykańskiej — wesoły oszust, wystawiający fałszywe czeki, lub handlujący fałszywemi banknotami. Mówi się u nas często o potrzebie zamerykanizowania naszego społeczeństwa. Do djabła! Nie chciałbym, aby nasi młodzi kupcy i przemysłowcy przejmowali się przykładami, z jakich każą nam się cieszyć autorzy amerykańscy.

Tego rodzaju rodzimych bussinessmenów już mieliśmy: nazywają się *Lodzermenschen*. Typ spekulanta łódzkiego w zasadniczych linjach przypomina łudząco „sympatycznego" yankesa z farsy amerykańskiej: obaj grawitują nieustannie między fortuną a więzieniem.

Zabawną jest okoliczność, że większość naszych krytyków chętnie wybacza francuzom — ich płochość erotyczną, amerykanom — ich brak skrupułów moralnych w dziedzinie interesów. Niechby sobie jednak polski autor na coś podobnego pozwolił! Chryste Panie! W jakież to uderzonoby dzwony! Polski autor musi być uroczystym obrońcą cnoty i moralności. Im uroczystsze zawdziewa szaty, tem pobłażliwiej klepią go po ramieniu.

Byłby to błąd nie do darowania, gdybyśmy o życiu rodzinnem we Francji chcieli sądzić według paryskiej farsy bulwarowej. Takim samym błędem byłoby mniemanie, że wielcy twórcy przemysłu i handlu amerykańskiego wyzuci są w interesach z wszelkich zasad moralnych. Ich olbrzymie fortuny, to rezultat wielkich talentów organizacyjnych, niespożytej energji i pracowitości, rozmachu, nie wykluczającego ryzyka, uporu, który przecież niekoniecznie bywa synonimem nieuczciwości.

. . . .

Eksmitowany lokator strzelił do właściciela domu, który — na mocy uzyskanego wyroku sądowego — chciał go usunąć z mieszkaniai.

Pewne dzienniki podniosły alarm.

— Zrujnowany i wyrzucony na bruk lokator strzela z rozpaczy do okrutnego kamienicznika!

Zaiste, trudno się oprzeć współczuciu wobec biedaka, który zostaje pozbawiony dachu nad głową. Należałoby jednak w każdym poszczególnym wypadku sprawdzić, w jakiej mierze ów nieszczęśnik na współczucie zasługuje, czy jest ofiarą losu czy też własnych przewinień.

Co ma przecież czynić właściciel domu, od którego państwo i miasto domagają się bezlitośnie uiszczania ciężkich podatków, — jeśli lokator nie płaci komornego? Legenda o zamożności „kamieniczników" należy do przedawnionej przeszłości. Osobliwie, gdy chodzi o posiadaczy małych nieruchomości na peryferjach miasta. Czy godzi się podniecać przeciw nim opinję publiczną, wzbudzać nieufność do wyroków sądowych? Czy godzi się — usprawiedliwiać, choćby pośrednio, metody regulowania zaległych rachunków przy pomocy rewolweru?

Te same dzienniki utyskują przy każdej sposobności na zanik ruchu budowlanego. Któż będzie lokował swe oszczędności we wznoszeniu nowych kamienic, jeśli grozić mu będzie, że zamiast komornego otrzyma kulę w pierś i jeszcze zniesławiony będzie jako niemiłosierny wyzyskiwacz.

Ale „kamieniczników" jest sto razy mniej, niż lokatorów. Więc demagogja popłaca.

Należałoby tylko zapytać: czy wydawcy tych dzienników, którzy częstokroć są właścicielami obszernych domów, darowują komorne swoim niewypłacalnym lokatorom, czy nie starają się w sądach o ich eksmisję?...

skrz.

FIORETTI

Dwie są rzeczy miłe w Warszawie: rozbiegane auta, które gonią za przechodniem, żeby go dostać i przejechać, nawet nieraz w tym celu zbaczają umyślnie z drogi, i osoby, które wplatają t. zw. kwiatki w nasze szare życie uliczne. Rozróżniamy dwa rodzaje czynników kwestujących: Jedne puszczają człowiekowi krew przy pomocy orzełka i szpilki i energicznie żądają za tę przysługę złotego. Drugie siedzą całemi miesiącami w hallu w Bristolu lub po teatrach, zakurzone i pokryte pajęczyną, patrząc na przechodzących wymownie i kłaniając się znajomym z niemym wyrzutem. Zwykle biorą ze sobą szydełkowe robótki, książkę lub niedołężnego młodego człowieka, a czasem, gdy im się znudzi siedzieć na miejscu, wstają i zagradzają drogę do restauracji miłosierdziem i sobą. Są to zwykle osoby z „towarzystwa", które jednak mimo tego tytułu z braku towarzystwa uciekają z domu, by widzieć ludzi. Zarówno tym czynnym, jak i tym cichym i biernym trudno jest odmówić kilkudziesięciu złotych dziennie, przez co bardzo pokrzywdzeni są prawdziwi żebracy, którzy przecież muszą zarobić, aby mieć na podatki od własnych kamienic.

Każdy z przechodzących panów woli przecież dać coś na rzecz (lub rzeczy) pięknej reprezentantce wdów i sierot w żałobnem futerku fokowem, niż dać kilka groszy jadącemu za nim na bobsleju czy drezynie żebrakowi.

To też na skutek tych zbiórek ubodzy warszawscy mają się bardzo źle, kaszlą, chudną, więdną, upijają się i kokainują i nigdy już nie mają wydać z pięciuset złotych, jak dawniej. Piękne panie puszkarki i dzielni panowie, wydzielający z siebie orzełki, robią im nieprawdopodobną konkurencję. Słodkie pochlebstwa żebraków w rodzaju: „hrabino, księżno, panienko", stosowane do osób starszych i skromnie lub za pięknie ubranych, zagłuszane są całkowicie przez gromkie i biegłe przemowy dobroczynnych osób, które w mózgu zmęczonego przechodnia przedstawiają się mniej więcej tak: „Pani pozwoli, że przypnę kwiatek na schronisko w Tatrach dla noworodków, na skocznię narciarską dla pcheł, na dom publiczny dla suchotników". „Pan pozwoli orzełka na gołębnik dla zakochanych i t. d." Z takiego spaceru powraca się do domu w pokłutem futrze lub paltocie i z większą ilością szpilek na wszelki wypadek, — wyzutym z wszelkiego mienia (oprócz szpilek).

Jak się bronić? — Farmerzy i indjanie amerykańscy, widząc zbliżający się pożar stepu, zapalili przed sobą trawę i chronili się w zwęglonych miejscach, ratując się ogniem od ognia. Trzeba więc wychodząc z domu uzbroić się w ogromną puchę i tysiąc papierków ze szpilkami, a droga odsłoni się przed nami wolna i pusta, nawet auto żadne nie zechce nas potrącić wachlarzem gestem rozkapryszonej markizy, jak to czyniło zazwyczaj.

Pst.

TO I TO

Od dłuższego czasu nachodził lorda Chamberlaina pewien bogaty anglik, którego na swoje utrapienie poznał lord Chamberlain w jednym z salonów londyńskich.

Człowiek ten, pożerany ambicjami, pragnął koniecznie zostać „baronetem" i błagał Chamberlaina, ażeby użył swoich wpływów i uzyskał dla niego upragniony tytuł.

W ubiegłym tygodniu zjawił się znowu u lorda Chamberlaina.

— Niech pan posłucha — rzekł lord do natrętnego gościa. Nie warto nudzić mnie i tracić czas nadaremnie. Nie wyrobię panu tego szlachectwa. Ale dam panu wzamian jedną radę. Może pan wszystkim mówić, że ofiarowałem panu tytuł baroneta — tylko, że pan odmówił.

* * *

Pewien młody kompozytor uzyskał po wielkich staraniach audjencję u Berlioza. Poszedł do mistrza i odegrał mu kilka własnych utworów.

— Będę zupełnie szczery — rzekł Berlioz po wysłuchaniu — nietylko nie znajduję u pana żadnego talentu, ale w tem, co słyszałem, nie dostrzegam najmniejszych zapowiedzi na przyszłość. Uważam sobie za obowiązek powiedzieć to, póki pan jest młody i może obrać sobie inny zawód.

Młody człowiek odszedł zrozpaczony. Gdy był już na schodach, Berlioz kazał go zawezwać i powiedział mu:

— Upieram się przy moim sądzie, ale muszę przyznać, że gdy byłem w pańskim wieku, powiedziano mi to samo.

* * *

Pewien uczony historyk sztuki i wielki znawca malarstwa, przyglądając się portretowi multimiljonera Rockfellera pędzla Sargent'a, zawołał: „Boże— chyba pozował panu jakiś mistyk z quattrocenta, jakiś nowy święty Franciszek z Assyżu?" A Sargent, który otrzymał za portret niebywałe honorarjum, ale nie miał wielkiego poczucia humoru ani znajomości dat, rzekł: „To właśnie widziałem w tym człowieku".

* * *

Staroangielskie (i niezbyt pochlebne) przysłowia o kobiecie:

— Głupia kobieta jest hałaśliwa, a więc i nieszkodliwa, bo nic nie wie.

— Lepiej jest mieszkać samemu w izdebce na strychu, niż ze swarliwą niewiastą w pałacu.

— Zarozumiała kobieta podobna jest do chmurnego, deszczowego dnia.

* * *

Humor francuski mówi:

Jeden japończyk, to człowiek, który [się dowiaduje.
Dwaj japończycy, to ludzie, którzy [działają.
Trzej japończycy, to ludzie, którzy [ciągną zyski
Jeden żyd, to żebrak.
Dwaj żydzi, to prywatny lombard.
Trzej żydzi, to bank międzynarodowy.
Jeden anglik, to turysta.
Dwaj anglicy, to pijacy.
Trzej anglicy, to kolonja angielska.
Jeden niemiec, to lokaj.
Dwaj niemcy, to kapral i żołnierz.
Trzej niemcy, to pułk.
Jeden turek robi niewiele.
Dwaj turcy robią jeszcze mniej.
Trzej turcy nic nie robią. *(h.)*

JULJAN EJSMOND

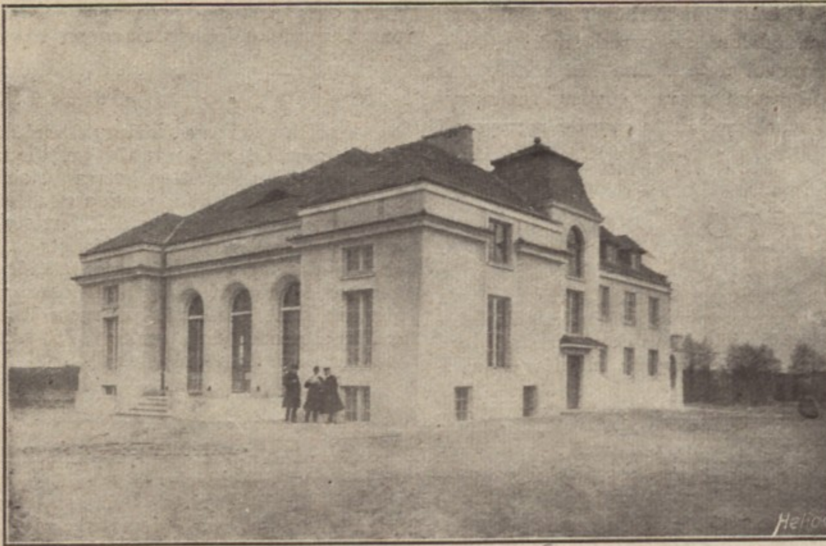
Redukcja zimy

Nie należy hołdować minionym zwyczajom.
Słusznie zredukowały Zimę nasze władze, —
oszczędność przedewszystkiem mając na uwadze.
Grudnie chciały zamrozić nas naprzekór majom.

Lecz Zimie nie udały się zmyślne intrygi.
Mocno dziś stoi złoty, mocno leją słoty....
Lód taje, a lud staje w połowie roboty....
Pokojowość zaś jedzie do Narodów Rygi.

Już nam Mickiewicz mówił „o grudniach w jesieni",
które są zwykle gorsze, niźli w maju „chwilka".
Lecz w maju nie robiła przewrotów Marylka,
a zimą się dopiero pan Putkamer żeni.

Choć jej przepowiadali tę redukcję wieszcze,
zredukowana Zima ma lico ponure
i leje łzy żałosne, bezustanne deszcze,
nim pójdzie na Rymarską po emeryturę....



Schronisko dla aktorów polskich w Skolimowie

Schronisko dla aktorów polskich w Skolimowie

Powzięta przed dwudziestu kilku laty zbożna myśl stworzenia Schroniska dla aktorów weteranów scen polskich—przybrała — ku radości inicjatorów — realne kształty. Dzięki poparciu i ofiarności licznego grona przyjaciół teatru—wzniesiono w Skolimowie (na gruncie podarowanym przez sędziego Wacława Prekera) i ukończono w zupełności okazały dom, w którym, od wiosny bieżącego roku — 30-tu pensjonarzy znajdzie upragniony wypoczynek. Doniosły cel zabezpieczenia bytu znękanym pracą i wiekiem weteranom scen polskich — zyskał uznanie i sympatję pośród ogółu naszej inteligencji. — Na apel Komitetu budowy chętnie spieszono z obywatelską pomocą, a w ostatnich paru miesiącach karty złotej księgi dobroczyńców Schroniska wypełniono nowym szeregiem imion ofiarodawców. Między innemi Magistrat Stoł. M Warszawy udzielił bezpłatnie ze szkółek miejskich 1,262 sztuki drzewek i krzewów ozdobnych do ogrodu przy Schronisku, — Fabryka wyrobów srebrnych i platerowanych Józefa Frageta ofiarowała 10 tuzinów łyżek, łyżeczek, noży i widelców, — Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i Grohmana w Łodzi nadesłały 205 metrów płótna i madepolanu na bieliznę pościelową, — Dyrekcja papierni w Jeziornie 7 wagonów leszu do umacniania ścieżek ogrodowych, — Dyrektor Stacji doświadczalnej „Granum", p. Tchórzewski kilka worków soli potasowej do użyźnienia ziemi, — PP. Librowiczowie ozdobną lampę do stołowego pokoju, — P. Jan Feist kilkadziesiąt sztuk różnego rodzaju szczotek, miotełek, wycieraczek do nóg i t. p. objektów, niezbędnych w każdem gospodarstwie domowem, — Towarzystwo Akcyjne „Zdzisław Szczerbiński i S-ka" piękny garnitur mebli bibliotecznych, — P. Janina Popławska 1,000 złotych na cegiełki, — P. Marja Luxenburg zadeklarowała całkowite umeblowanie sześciu pokoi, — P. Jadwiga Mrozowska - Toeplitzowa, znakomita artystka dawniejszego teatru „Rozmaitości", nadesłała z Medjolanu 5,000 złotych na wewnętrzne urządzenia.—Oprócz tego liczne grono osób, życzliwych sprawie budowy Schroniska, zadeklarowało znaczną liczbę cennych darów.

Że zaś piękne przedsięwzięcie doszło do skutku, zawdzięczać to należy w wielkiej mierze niespożytej energji artysty teatru Narodowego, p. Antoniego Bednarczyka, który od wielu lat zabiega o ziszczenie projektu z zapałem i wytrwałością, godną najwyższego uznania. Tak to bywa u nas, że entuzjazm i praca jednego człowieka odnoszą tryumf.

NOTATKI

Nagrodę państwową Republiki Czechosłowackiej otrzymali następujący pisarze: K. Toman za tom poezji „Stuletni kalendarz", B. Berešova za powieść „Uderzenie", Krejći za powieść „Ostatni", Nejedl'y za monografję o Smetanie i Stašek za swoje wspomnienia. Słowak Hruszowski otrzymał nagrodę państwową za powieść „Człowiek z protezą". Nagroda państwowa wynosi 5.000 K. cz. dla każdego laureata.

* * *

Towarzystwo poetów w Londynie rozpisuje konkurs na poemat ku czci Szekspira. Poemat ten może mieć formę sonetu, czterowiersza albo dzieła rymowanego dowolnej długości i formy. Dla wszystkich trzech grup przeznaczony jest srebrny medal, a najlepszy utwór nagrodzony będzie medalem złotym. W konkursie mogą brać udział poeci wszystkich narodowości. Pierwsze cztery wiersze poematu mają być wyryte na murze nowego teatru Szekspirowskiego w Stratfordzie.

* * *

D'Annunzio spółka akcyjna. Donoszą z Włoch o powstaniu dużej spółki akcyjnej dla wydania wszystkich dzieł D'Annunzia w 40-u bardzo ozdobnych tomach. W tym celu założono pod protektoratem króla i pod honorowem przewodnictwem Mussoliniego spółkę akcyjną z kapitałem 6 miljonów lirów pod nazwą „Narodowy Instytut dla wydania wszystkich dzieł Gabriela D'Annunzio". Kupiecka strona przedsiębiorstwa przedstawia się bardzo interesująco: akcje w wysokości 1-go miljona obejmuje D'Annunzio, 3 i pół miljona przejmuje księgarnia państwowa, a 1 i pół miljona narodowy zakład ubezpieczeń. Z czystego zysku otrzymuje D'Annunzio 50%, 15% rada zarządzająca, 5% przeznaczone jest na rezerwę, a 30% otrzymują akcjonarjusze. Pozatem D'Annunzio zastrzega sobie 30% ceny książkowej z każdego sprzedanego egzemplarza.

xy.

HABILITACJA DOKTORSKA NA WYDZIALE FILOZOFICZNYM UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Fot. J. Malarsk



Wręczenie doktoratów na wydziale filozoficznym uniwersytetu Warszawskiego paniom: Halinie Swiderskiej, Zofji Brochockiej, Irenie Drozdowiczównie, Halinie Wittlinowej oraz H. Kórmanowej. Za stołem: rektor prof. Hryniewiecki oraz profesorowie Handelsman, Szober, Gubrynowicz, Łempicki oraz Ujejski

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN ZAŁOŻYCIELKI ZGROMADZENIA SIÓSTR NIEPOKALANEK



Ś. p. Matka Marcelina Darowska, założycielka Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek, wychowawczyni wielu pokoleń, której pamięć w setną rocznicę urodzin obchodzą uroczyście klasztory w Jazdowie, Jarosławiu, Niżniowie, Nowym-Sączu, Szymanowie i Słonimie



Klasztor macierzysty Jazdow, gdzie wychowywały się i wychowują się dziewczęta pod kierownictwem sióstr Niepokalanek. Program nauczania zgodny jest z poleceniami Ministerstwa. Pedagogja stoi na wysokim poziomie

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI MINIONEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD

Sejm rozpoczął obrady nad budżetem. Musi je prowadzić bardzo intensywnie, by załatwić budżet w terminie przewidzianym Konstytucją.

Komisja budżetowa Senatu obraduje w pośpiesznem tempie, przygotowując materjały dla plenum.

Pismo o wydanie 5 posłów: Taraszkiewicza, Wołoszyna, Rak-Michajłowskiego, Miotły i Hołowacza z obszernem umotywowaniem skierowała do Sejmu wileńska prokuratorja.

Nowy klub lewicy Narodowej Partji Robotniczej powstał w Sejmie jako secesja z N. P. R.

Ministrem poczt i telegrafów zamianował p. Prezydent Rzeczypospolitej, na wniosek p. premjera, posła Bogusława Miedzińskiego, który objął stanowisko personalnie, nie zaś jako członek klubu i stronnictwa „Wyzwolenie".

SPRAWY POLSKIE.

Pogłoskom o rzekomych pertraktacjach w Thoiry co do zmiany granic Polski, rozpowszechnianych przez Niemcy, zaprzeczono kategorycznie z oficjalnych źródeł francuskich.

Ataki antypolskie zamieszcza niemiecka prasa w Gdańsku z powodu rozporządzenia, nakazującego urzędnikom kolejowym w Gdańsku znajomość języka polskiego.

P. Colban, delegat Ligi Narodów, opuścił Górny Śląsk, zapoznawszy się z lokalnemi stosunkami mniejszości narodowych, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa. Jeżeli badał bez uprzedzeń, nie znalazł polskiej winy.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rokowania w Paryżu o twierdze niemieckie nie dały jeszcze wyniku. Ale Niemcy przejawiają już pewną skłonność do ustępstw.

Opinja światowej prasy w sprawie twierdz niemieckich jest naogół korzystna dla Polski; zrozumiano grożące nam niebezpieczeństwo.

Nad reformą Konstytucji obraduje Sejm gdański. Na konieczność zmniejszenia liczby posłów i senatorów godzą się wszyscy. Natomiast projekt parlamentaryzacji Senatu zwalczają nacjonaliści.

P. Marx tworzy gabinet, opierający się na nacjonalistach, z zapewnionem poparciem centrum. Socjaliści i demokraci zapowiedzieli już opozycję.

Traktat francusko-rumuński powitano w Rumunji entuzjastycznie, jako gwarancję bezpieczeństwa. Sowiety w nocie do rządu francuskiego zaprotestowały, roszcząc dalej pretensje do Besarabji.

Długów wojennych carskiej Rosji nie zapłacą sowiety. Moskwa zakomunikowała to ambasadorowi francuskiemu, doradzając pogodzenie się z faktem.

Głośna sprawa Garibaldiego i spiskowców katalońskich zakończyła się skazaniem ich na więzienie i na banicję z granic Francji.

Proponowany arbitraż w konflikcie z Meksykiem odrzucił prezydent Coolidge, wbrew decyzji senatu, nie widząc ustępliwości z meksykańskiej strony.

Ruch wydawniczy

„WALKA O CZŁOWIEKA"

Niewdzięczny to rodzaj sztuki wierszopisarskiej—opiewanie wzruszeń intelektualnych. Nigdy nie można ocenić całkowitości osiągniętego artystycznego rezultatu, gdyż czytelnik o innem nastawieniu światopoglądowem nie wzruszy się tak, jak sympatyk. P. Lucjan André postanowił jednak na tym trudnym terenie zdobyć palmy zwycięstwa. Chodzi mu o wartości ludzkie szlachetne, do wyobraźni jego przemawiają żądania bohaterskiego, odpowiedzialnego moralnie życia. Za motta wziął najdumniejsze hasła, jakie w lata teraźniejsze rzucono naszemu społeczeństwu. Żeromskiego pobudka „człowiek, co czci człowieka, opiera się tylko na sobie" oraz oświadczenie marszałka J. Piłsudskiego „całe życie walczyłem o to, co zowię imponderabilia, jak honor, męstwo, cnota i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie korzyści własne, czy swego otoczenia" — oto gwiazdy, które przyświecają jego wierszom.

Nic dziwnego, że utwory te mają przeważnie charakter okolicznościowy dydaktyczno-patetyczny. Bezwzględnie do tego typu należą „Legenda o nieznanym żołnierzu", „Pierwszy list do ostatniego człowieka", „Plac Saski", „Imponderabilja" oraz „Szara i Błękitna".

W zbiorze tym p. t. „Walka o człowieka", jako utwory programowe, mile w tonach moralno-psychologicznych, zalecają się: „Inwokacja", „Bunt", „Oręż", „Falanga". Wystarczy zacytować strofę z tej „Falangi", by poznać świat wzruszeń p. Lucjana André:

„Wali poeta w kowadło,
Opasany skórzanym fartuchem
I skaczą słowa z pod młota
Obuchem walą w łby głuche.
Aż echem rozbrzmiewa stokrotnem
W cmentarnych świata erebach
Iskrząca na radjo-fali
Poezja drapaczy — nieba".

„Walka o człowieka" mimo tej mechanicznej, materjalnej, współczesnej dekoracji pełna jest idealizmu i wiary. Nie może być zresztą inaczej! Kto wierzy w zwycięstwo dobra i piękna, musi promieniować idealizmem...

Notatki literackie

MIŁOŚĆ FR. CHOPIN'A

Muzyka Chopin'a podbiła cały świat. Gdy odsłanialiśmy w Warszawie pomnik ku jego czci — wieść ta odbiła się wielotysiącznem echem w prasie oraz instytucjach kulturalnych zagranicznych. Życie twórcy „preludjów" naogół jest znane szerokiej publiczności. Niema bowiem encyklopedji, w którejby nie zamieszczono biografji tego poety tonów. Jego stosunek do znanej powieściopisarki George Sand był również wielokrotnie omawiany. Przyczyniła się do tego i sama autorka „Indiany". W „Historji swego życia" opowiedziała, jakie węzły łączyły ją z Fryderykiem Chopin'em. Była to już retrospektywna, literacka koncepcja. W listach z tych czasów znajdują się świadectwa o wiele wiarogodniejsze. Temperament George Sand wypowiadał się żywiołowo, bezpośrednio. Jej znajomość z Fryderykiem Chopin'em nie przyniosła rewelacji. Uczucia nie były jej obce. Umiała korzystać z dobrodziejstw temperamentu i łask krwi. Genjalny muzyk był nowicjuszem w tym „towarzyskim" sentymentaliźmie. Jak twierdzi p. Józef Jankowski, autor obecnie wydanej książki pt. „Miłość artysty — Chopin i Pani Sand", twórca mazurków poza idealną miłością do p. Marji Wodzińskiej nie znał zupełnie kobiet. Gdy zakochał się w hrabinie Aurorze Dudevant, miał lat 28. Jej złożył właściwie swoich pierwszych uczuć kwiaty i u jej ramion skończył dzieje swojego serca. Trwało to lat osiem, lecz tylko rok był szczęśliwy. Później był to okres miłości macierzyńskiej, jak określa to uczucie p. Sand. W powieści „Lucrezia Floriani" znalazły się literacko przerobione refleksje tej miłości. Nie były one łagodne, bo temperament autorki wrzał nawet jeszcze w latach późniejszych. Między nią a córką dochodziło do scen gorszących. Pani hrabina urządzała bijatyki z własnym zięciem.

Książka p. Józefa Jankowskiego zawiera wszystkie najciekawsze momenty miłości tych dwojga wybitnych ludzi. Interpretacje poszczególnych faktów nie wszystkich może zadowolą, ale nie przynoszą one ujmy autorowi. Chciał wyidealizować twórcę „nokturnów". Nie trzeba zapominać, że Chopin i tak był człowiekiem nie z tego świata.

Z dziedziny kosmetyki leczniczej

Suchą skórę należy odróżniać od suchej seborei, łupieżu i liszaja. Objaw suchości zpowodowany bywa skąpą wydzielalnością gruczołów skórnych i często występuje w rezultacie podrażnienia skóry mydłem, wiatrem, słońcem, u osób o skórze cienkiej (co zazwyczaj bywa u blondynek). Często też spotykamy suchość skóry u osób wycieńczonych, anemicznych, cierpiących na trądzik, pryszcze. Taką suchą skórę powinno się myć bardzo ostrożnie w ciepłej wodzie używając do tego mało mydła ale zato doberze „przetłuszczonego" lub tak zwanego „dla dzieci" a także „lanolinowego" np. Malinowskiego. Wodę należy używać miękką (np. deszczowa) w braku zaś takiej dodawać sody lub z gotowych preparatów np.: „Mollette". Po umyciu należybuzię wysuszyć (nie trąc lecz przyciskając) bardzo miękkim ręcznikiem. O ile buzia nie łuszczy się dobrze jest po umyciu przetrzeć miękkim ręcznikiem lub watą zmoczoną w: „chlorku rtęci 0,25, nalewki benzoesowej 7,5, wody 250,0". Na drugi zaś dzień w: nalewki benzoesowej 7,5 octanu ołowiu trójzasadowego 2,5, wody 250,0. O ile zaś skóra zaczyna łuszczyć się przetrzeć ją: „wosku białego 2,5, olejku z migdałów słodkich 10,0 wody różanej 5,0, wody pomarańczowej 2,5, salicyl. sody 0,25, lanoliny 0,5. Na noc można według Moniu stosować: „spirytusu 85% — 175,0 Nalewki benzoesowej 47,0, Angielskiego octu aromatycznego 15,0, Masła muszkatowego 0,5 (używać z niewielką ilością wody) lub też: „olejku waselinowego 10,0 lanoliny 10,0, Linimentum oleo calcari 20,0 lub też z gotowych preparatów np. „Neutre" lub „Pâte des prelats".

Dr. med. Feliks Rostkowski

Warszawa.

Z dziedziny kosmetyki

P. Marji K. Najlepszym środkiem do rąk jest *„Pate de prelats"*. Radzę Pani już teraz zacząć używać, stosując jednocześnie wybielający pyłek *„Juvenia Candida*, a przez całą jesień i zimę utrzyma Pani rączki w należytym stanie. Będą idealnie miękkie, gładkie i białe.

Zofji M. w Kielcach. Do ust zamiast pomadki radzę stosować płyn *„Rosein"*, który na ustach jest zupełnie niewidoczny, nie ściera się i nie plami. Brwi trwale przyciemnia „Excelsior" do brwi. Idealnie białe ząbki będzie Pani miała, używając proszku wybielającego *„Albol"*, który wybiela nawet zczerniałe i zaniedbane zęby.

Grymaśnej. Aby zapobiedz łuszczeniu się skóry i utrzymać czystą, świeżą cerę, radzę umyć się *„Otrąbkami Abaridowemi"* i na noc wcierać troszkę *„Kremu Abaridowego"*, a następnie przypudrować *„Pudrem Abarid"*, który jest zupełnie nieszkodliwy, gdyż nie zawiera metali i minerałów, a składa się tylko z roślinnych części, między innemi w skład jego wchodzą mielone cząstki cebulek lilji białej, które, jak wiadomo, były znane jeszcze w czasach starożytnych, jako dodatnio działające na cerę.

Środki te nabyć można w pierwszorzędnych perfumerjach i drogerjach. Skład główny: *Warszawa, Szpitalna 10. Perfumerja „Perfection"*.

M-me Ercedes

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI — Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa